Rok 1938 3 kwietnia Nr 14

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



Kiedy po zabójstwie przez graniczną straż litewską naszego żołnierza, zdawało się, że Polska będzie musiała zbrojnie wkroczyć na Litwę, by ją zmusić do szanowania praw, Wódz Naczelny armii, marszałek Edward Śmigły Rydz udał się do Wilna, aby być jak najbliżej oddziałów, które miały przekroczyć granicę. Tam zastał go dzień jego imienin, poprzedzający — jak wiadomo — dzień św. Józefa. Ludność wileńska, jak tylko umiała najserdeczniej, powitała wśród siebie ukochanego Wodza. Nie brakło też i dzieci, które, jak nam to właśnie przedstawia rycina — składają Solenizantowi życzenia, a on mile je przyjmuje i rad rozmawia z uszczęśliwioną gromadką. Dzieci patrzą na niego, jako na tego, który w chwili niebezpieczeństwa stanąłby na czele całej armii, aby ją poprowadzić do zwycięstwa; on zaś spogląda na dziatwę, jako na tych, z których może już nie zadługo wyrosną dzielni obywatele kraju i obrońcy jego wolności.

Jak się zachowują spadochroniarze?

Lecący samolot przestał już ogólnie budzić ludzką ciekawość, tak prędko bowiem przyzwyczaił się człowiek do widoku tej bajecznej maszyny, na której skonstruowanie czekała ludzkość długie wieki, wysilało swe mózgi wielu uczonych, a mnóstwo ofiar śmiertelnych usłało drogę jej udoskonalenia.

Zato skok na spadochronie z aeroplanu czy choćby tylko ćwiczebny z umyślnie na ten cel zbudowanej wieży, z pewnością nie przestanie nigdy sprawiać na widzach silnego wrażenia.

Cóż dopiero mówić o samym skoczku, który z całą świadomością musi rzucać się w straszliwą pod nim próżnię

a raczej ocean powietrza, licząc jedynie na to, że spadochron rozwinie się w odpowiednim momencie i nie pozwoli mu runąć jak kamień bezwładnie. To też nic dziwnego, że spadochroniarze przeżywają bardzo mocne wrażenia w swej drodze z ponad chmur, zanim pod nogami poczują ziemię.

Zajęli się tą sprawą lekarze i przekonali się, że po skoku, zwłaszcza po pierwszym, puls bije o wiele szybciej i zmienia się nawet ton bicia serca. Zachodzą też zmiany w czynności nerek a mięśnie okazują wzmożenie sił. Za to pamięć i zdolność myślenia prawie się nie zmieniają, zmniejsza się tylko uwaga. Zależnie od usposobienia, jedni przed skokiem są nienaturalnie weseli, drudzy — przeciwnie, stają się ponurymi i zamkniętymi w sobie.

Człowiek zupełnie zdrowy i należycie rozwinięty wytrzymuje skok zupełnie dobrze, człowiek zaś bardzo nerwowy może nawet w razie spadania stracić przytomność. Konieczną jest rzeczą, by spadochroniarz posiadał silny i dobrze rozwinięty kościec, albowiem w chwili zetknięcia się z ziemią następuje silny wstrząs całego ciała. Szybkość spadania ze spadochronem zależy od jego wielkości i urządzenia, a wynosi mniej więcej 6 do 9 metrów na sekundę.

Przeważna część skoczków zdaje sobie w czasie spadania doskonale sprawę z tego, co się z nimi dzieje, są jednak i tacy, którzy nic nie pamiętają, albo tylko o tym, by pociągnąć za kółko, które sprawia otwarcie się parasola spadochronowego.

Jak w każdym sporcie, tak i w spadochroniarstwie ludzie poczynili już różne rekordy, a do największych sztuk w tym kierunku należał skok z wysokości 6.000 metrów, oraz skok z otwarciem spadochronu dopiero po 22, a nawet po 41 sekundach spadania. Oczywista rzecz, że im wcześniej otworzy się nad spadającym człowiekiem zbawczy parasol spadochronu, tym dalsze zbliżanie się ku ziemi staje się łagodniejsze a zetknięcie się z nią odbywa się bez wielkiego wstrząsu. Ludzie jednak, a zwłaszcza sportowcy, lubią ryzykować zawsze, jak to widzi się na wszelkich wyścigach, zwłaszcza samochodowych lub motocyklowych, w czasie których bardzo często zdarzają się ofiary śmiertelne.

A przecież są na świecie rzeczy o wiele większe, ważniejsze i godniejsze, dla których raczej należałoby poświęcić życie, niż dla marnej sławy rekordzisty. Przykładem takim świecą przede wszystkim misjonarze, którzy rzeczywiście dokonują prawdziwych rekordów zaparcia się siebie, poświęcenia i miłości bliźnich. Ich rekordy wynagrodzi nie poklask ciekawych widzów, lecz Ten, który jedynie patrzy w duszę i serce człowiecze.

O „świętym" Fudżi-Jamie i innych górach ogniowych

Wulkanów, czyli gór ziejących ogniem, najmniej — jak wiadomo — ma Europa, najwięcej zaś Azja, a w szczególności Japonia. Kraj ten wyspiarski poprzerzynany jest licznymi łańcuchami górskimi, które obfitują bądź w czynne bądź w wygasłe już wulkany.

Najwyższym z nich jest szczyt Fudżi-Jama, wysokości 3.800 m. Jest to góra święta dla Japończyków mimo, że zadała im już niejedną straszliwą klęskę swoim wybuchem. Śpiewają o niej poeci wszystkich wieków, odtwarzają w swoich malowidłach wszyscy malarze japońscy, nawet sztuka hafciarska uwieczniła ją niejednokrotnie cudnymi barwami jedwabi. Otaczają Fudżi-Jamę liczne legendy, które przechodząc z pokolenia na pokolenie, stały się nieśmiertelną własnością całego narodu, tak, iż góra ta z dymiącym wiecznie wierzchołkiem jest na prawdę symbolem Japonii. Szczyt jej pokrywają nie znikające nigdy śniegi, a po zboczach spływają wody tajemniczej rzeki, która nie wiadomo gdzie ma swe źródło,

w biegu zaś swoim przewija się i gubi między rozlicznymi gajami wiśniowymi.

Za najpotężniejszy wulkan na ziemi uważano do niedawna Kilauea na wyspach hawajskich. Dokonywano na nim wierceń w celach naukowych, by stwierdzić ciepłotę wnętrza ziemi i przekonano się, że krater tego wulkanu, który też nosi nazwę Mauna Loa, ma 925 m. długości, a 615 m. szerokości. W głębi jego kryje się wielkie jezioro, które nie tylko że nie sprawia wygaśnięcia krateru, ale nawet samo nigdy nie wysycha. Wulkan mając zalany olbrzymią masą wody swój główny otwór, porobił sobie boczne i poprzez te mniejsze kratery wypuszcza nieprzerwanie roztopioną lawę.

Jeszcze większy krater odkryto w roku 1919 na Islandii, gdzie znajduje się dobrze m. in. znany wszystkim badaczom wulkan Hekla. Podróżnicy szwedzcy przemierzając tam na saniach i koniach olbrzymie morze lodowcowe, natknęli się przypadkiem w pobliżu wulkanu Hveafiö na nieznany krater, który — jak się okazało — miał 8 kilometrów długości, a 5 szerokości i również wypełniony był wodą, w dodatku gorącą.

Takie to dziwy znajdują się jeszcze w różnych okolicach naszej niby już dobrze poznanej ziemi.

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Bolek podszedł ku drzwiom z sieni do kuchni, zatyczkę zacisnął i obejrzał się dokoła dla sprawdzenia, że istotnie wewnątrz sieni jest zewsząd dobrze zamknięty, gdy wtem grad pocisków kamiennych od strony płotu posypał się w przednią ścianę chaty. Samotny trębacz zastępu Lwów z zimną krwią jak na skauta przystało, spojrzał na zegarek by sobie tę chwilę spamiętać i prawie głośno rzekł do siebie z uśmiechem:

— Oblężenie zaczyna się salwą działową.

NA POPASIE

Jeszcze Tadzik, Małym zwany, nie dokończył chleba z serem, walcząc ciągle to z mrówkami, to znów z muchami, co się z zarośli zagajnika zleciały, snać zwietrzywszy niespodziewaną ucztę, gdy już chudy Mieczek, siedzący na suchym pniu dawno ściętej grabiny, rysował w kieszonkowym szkicowniku parę siwków, które nieco zdrożone wyżerały teraz chciwie bujną trawę między młodymi brzozami. Co chwila podnosił w górę ołówek w długich, cienkich palcach, mrużył oczy i mierząc nim coś w powietrzu, rysował dalej zawzięcie, z biegłością wprawnego malarza.

— A bodaj cię — bąknął niezrozumiale, gryząc w zębach czekoladę — nie mogłeś trochę poczekać.

— Co ci się stało? — spytał ciekawie Bogusławski.

— Wyobraź sobie — mruczał Rogowicz — już go miałem.. o, patrz... dojeżdżam do zadu, gdy w sam raz ślepak musiał go uciąć, koń wierzgnął i z miejsca obrócił się do mnie chrapami, jak gdyby go fotograf prosił do „anfasowego“ zdjęcia.

— No, nie narzekaj, bo już się konisko znowu odwraca.

— Ba, lewy profil... gdy ja go od prawej brałem — zrzędził dalej Mieczek.

Ale już od początku rysował siwka powtórnie, a z pośpiechem, by chwycić jego sylwetę przed nowym wykręceniem się konia, który napadany przez muchy, nie mógł ustać spokojnie.

— Czemuż nie dokończysz klaczy? — pytał Tadzik, zaglądając w notatnik rysownika — przecież ona ciągle się pasie w tej samej pozycji, w jakiej ją naszkicowałeś. Tobie zawsze to się uśmiecha, co trudniejsze. No, przyznaj, nie?

— Hm... nie wiem właściwie. — od-

parł Rogowicz, nie odrywając się od nowego rysunku — kto ma taką naturę, ja, czy raczej ty... Widzisz, jak ja to sobie kreślę w bloczku... o... trzy brzózki, dwa odrośla grabowe, świerczek, konie osiodłane, trawkę pięknie skubiące .. ot, obrazek realny, modele namacalne, rzeczywistość, mój mały, rzeczywistość, możliwa dla realisty na przełomie między klasą czwartą, a piątą... czyli nic trudnego.

— Przepraszam cię — przerwał mu Tadzik — masz, zdaje się, jeszcze jedną tabliczkę czekolady, podziel się ze mną.. Dziękuję ci.

— Nic trudnego, powtarzam... A ty, mój mały, wiązałbyś tylko mosty między chmurami, latać chciał z Oriona ku Wielkiej Niedźwiedzicy, bo dajmy na to, przelot Szaweza nad Alpami wydaje ci się jeszcze za bliskim ziemi...

— Dałbyś pokój, chudy Longinie — bronił się Mały.

— Ty mi od długich nie wydziwiaj, boś jeszcze nie zbudował własnego pomysłu aerohydroplanu, w którym będzie moim nogom za ciasno. Ja ci tylko miałem udowodnić, że raczej w twojej, niż w mojej naturze leży harcerskie zamiłowanie w wybieraniu sobie do zwalczania właśnie cięższych trudności.

— Ja utrzymuję przeciwnie — chrząknął Tadzik.

— Proszę ja kogo... Zatem kto z nas dwu miał ochotę gonić za cyganami aż do Siemiatycz albo do Mielejczyc... Więc to nie ja musiałem kogoś za poły chwytać i wstecz pociągać: a pr... pr...

Mały roześmiał się z nad krzaczka poziomek, na którym znalazł parę dorodnych jagód i co żywo zatkał nimi usta zajętemu rysunkiem koledze.

— No tak; ja byłbym z miejsca pędził za nimi dalej, usłyszawszy dokąd odjechali, bom sobie nie wyobrażał, że to tyle mil drogi, zwłaszcza, jak nam chłop powiada na pytanie, że niedaleko, że będzie tylko kilka drobnych wiorst...

— A czy ty nie znasz takiego gadania — oburzał się Rogowicz. — Raz o trzymilowej drodze powiedzą, że nie ma mili, a kiedy indziej zapewniać cię będą, że to jeszcze kilka mil jechać trzeba, gdy w rzeczywistości jest pięć, sześć kilometrów. To też skaut nie powinien polegać na takich wskazówkach bałamutnych, tylko zajrzeć do własnej mapy...

— Zapominasz, Mieczku, — żeśmy wzięli z dworu mapę jedynie dóbr grzybowskich i co najbliższej okolicy, że zatem Siemiatycz już na niej nie było.

— Ale ktoś mały nie jest tak mały, by mu wolno było zapomnieć, że w długiej drodze z Krakowa koleją badaliśmy dostatecznie mapę tych stron, w których mieliśmy spędzić wakacje.

— Tak, tak, Longinie kochany, ale po cichu przyznam ci się, że ja tej mapy nie mam jeszcze tak w myśli, w głowie, w oczach, jak ty ją masz... Ja sobie jeszcze dokładnie zdać sprawy nie mogę z tego, gdzie to jest.

— Zmiłuj się, Tadziku, co ty wygadujesz, przecież wstyd będzie nielada, gdy się Leszek połapie w tym, że jeden z Lwów aż z Małopolski przyjechał tutaj i nie potrafi z pamięci wyrysować mapy, gdzie ma stanąć obozem.

— Hola, co ty gadasz, geografie — historyku! Jakto z Małopolski! Przecież i tu Małopolska, jeśli Kraków w Małopolsce.

— Racja, mój mały, zapomniałem, że województwo podlaskie ze stolicą Drohiczynem należało nie do Litwy, jeno do korony, a w szczególności do Małopolski. Mimo to całe dawne Podlasie widzę jak na dłoni i określę ci, bez patrzenia na mapę, miejsce naszego obecnego pobytu. (C. d. n.).

FIGIELKI ZAGADKOWE

Jaka jest najmilsza gadka?
Jaki szczur — to nie szczur?
Jaka rynka umie grać?
Jaka wola jest karygodna?
Jaki leń nosi rogi?
Jaki mur jest bez cegieł?
Jaka lata jest zdrowym pożywieniem?
Która ola nie jest imieniem?

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NRU 13:

Logogryf: 1: G, 2: noc, 3: lilia, 5: głowa, 6: oto, 7: a — Golgota.

Figielki: ozimina, okoń, pasikonik, wąwóz.